

Piotr Piątek

Ostatnia szansa



Piotr Piątak
„Ostatnia szansa”

Copyright © by Piotr Piątak, 2015
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o., 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski
Projekt okładki: Robert Rumak
Korekta: Ryszard Krupiński
Ilustracje na okładce: @ Jörg Hackemann – Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-383-9

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 665 955 131
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści

Ostatnia szansa	4
Rozdział I	5
Mobilizacja	
Rozdział II	76
Wiara	
Rozdział III	125
Nadzieja	

Ostatnia szansa

Szanowny Czytelniku

Oddaję w Twoje ręce kolejną książkę. Pisałem ją bogatszy o obserwację promocji i sprzedaży „Rachunku sumienia” oraz lekturę wielu recenzji i komentarzy. Mam nadzieję, że „Ostatnia szansa” będzie co najmniej tak samo ciekawym doznaniem literackim. Sami oceńcie czy jestem pilnym uczniem.

Na końcu książki ponownie umieściłem maila, na którego można przesyłać swoje opinie dotyczące książki. Obiecuję, że wszystkie przeczytam i postaram się na nie odpowiedzieć.

Jestem jeszcze winien jedno wyjaśnienie. Na pohybel 3! Podpisując umowę na wydanie „Rachunku sumienia” miałem 33 lata i w ten właśnie sposób chciałem uwiecznić tzw. wiek Chrystusowy. Życie wielokrotnie udowodniło mi, że cyfra 3 ma dla mnie szczególne znaczenie. Bardzo mi zależało, aby właśnie w tym wieku podpisać pierwszą umowę z wydawnictwem.

Zanim zaczniesz czytać tę książkę, zamknij oczy i zastanów się, co byś zrobił w obliczu rychłego końca świata. W ten sposób lepiej przygotujesz się na zetknięcie z przedstawioną przeze mnie fabułą. Jak sobie wyobrażasz koniec świata?

Mam nadzieję, że uda mi się Ciebie zaskoczyć. Czytelnicy „Rachunku sumienia” wiedzą, że w moich książkach i opowiadaniach nic nie jest oczywiste i przewidywalne.

Piotr Piątak

Rozdział I

Mobilizacja

Zawsze w gotowości, o każdej porze dnia i nocy.
Czekając na sygnał – błyskawicę w ciszy
Codziennych dźwięków,
Walczy o zauważenie i spokojne sumienie,
Gdyż ona tam jest.

Gdy nadejdzie ten moment, ma być gotowa.
Taki jest Boski plan!
Czeka nawet dawno zapomniana,
Ale jest!

Błogosławieni wierzący i słuchający,
A kto nie wierzy... niech da szansę i posłucha,
Bo i tak tam była, jest i będzie,
W każdym z nas.

– Jezu, która to godzina! – warknął mężczyzna wyrwany z głębokiego snu. „Jeszcze nie teraz! Wróć chociaż na chwilę” – próbował sobie przypomnieć, o czym śnił. Wiedział, że było miło, fantastycznie... znowu ten dźwięk! Leżał pogrążony w ciemności, licząc, że za moment ponownie nastanie upragniona cisza. Jeszcze była szansa na szybkie zaśnięcie, powrót do słodkiej krainy snów. „Nie mam jeszcze ochoty na starcie z kolejnym dniem. Co może być takie pilne, aby nie mogło poczekać do rana?! Przecież jeszcze jest ciemno!” Jednak telefon nie dawał za wygraną. Dzwonek stawał się coraz głośniejszy. „Muszę ratować swoją głowę”.

– Chwila... – wymamrotał, próbując wymacać telefon leżący na blacie nocnego stolika, nie strącając przy okazji niczego obok. – Co jest, świat się kończy?! Jeszcze jest ciemno...

Udało się. Kurczowo trzymał w dłoni wibrujące urządzenie. Usilnie powstrzymywał się od rzucenia nim o ścianę. Poczekał jeszcze dwa dzwonki, z nadzieją, że ktoś da za wygraną. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Celowo nie spojrzał na wyświetlacz. „Z nikim!” Po co więc sprawdzać. Nie pomogło. Nie było innego wyjścia. „Może to pomyłka” – przesunął palcem wyświetlony pasek, by odebrać połączenie.

– Słucham – wydusił z siebie zaspętym głosem.

Miał nadzieję, że chodzi o coś cholernie ważnego. Ostatni raz obudzony został w środku nocy przez kolegę, który wypił o jedno piwo za dużo i musiał się koniecznie dowiedzieć, czy może wypić jeszcze jedno piwo z sokiem przez słomkę, czy też powinien iść do domu. Jeszcze bardziej go nurtowało, czy w taki sposób piją jedynie kobiety, czy też mogą napić się mężczyźni. Rozmowa trwała wówczas dobre dziesięć minut,

a raczej bełkotliwy monolog zakłócany przez głośną muzykę i przekrzykujące się towarzystwo. Mężczyzna cierpliwie czekał do końca rozmowy, znając sytuację osoby dzwoniącej. Chłopak nie mógł dojść do siebie po tym, jak po powrocie z rocznej misji zastał mieszkanie z wymienionymi zamkami, zerwaną tabliczką z nazwiskiem oraz wrzaskiem obcego mężczyzny, by zostawił kobietę w spokoju. Kobietę, z którą był około 10 lat i z którą po powrocie miał wziąć ślub. W ręku miał nawet bukiet czerwonych róż, a w drugiej pudełko czekoladek. Na samą misję pojechał za jej namową, by w ten sposób zarobić większą ilość gotówki, której znaczną część zdążył jej wcześniej przekazać. Wówczas mężczyzna cierpliwie czekał na koniec rozmowy, gdyż sam znał gorzki smak niespodziewanego zesłania w otchłań samotności. Przytakiwał i jego rada ograniczyła się do powiedzenia: „No to cześć”.

Powrót myślami do nocnego telefonu przypomniał mężczyźnie poprzednią epokę klimatyczną, jak przyjęto o niej mówić. Tylko że tu nie chodziło jedynie o klimat. Wszystko uległo zmianie, a raczej destrukcji. Nie mógł zapomnieć. Zbyt wiele wrażeń, wspomnień, a obecnie... stagnacja i rozczarowania. Z zamyślenia wyrwała go dzwoniąca osoba. Przez moment miał problem z ustaleniem granicy pomiędzy jawą a snem.

– Panie majorze... – słyszał przez słuchawkę. – Jest tam pan?

Ten wstęp wystarczył, by mężczyzna dobudził się i wstał odruchowo z łóżka. „To nie był sen!”. Pospiesznie zapalił lampkę nocną stojącą na stoliku, klejącą się od wzmacnianego napoju, który musiał na nią wylać poprzedniego wieczora.

Obok lampki leżała przewrócona butelka. „Wszystko jasne. Dobrze, że prawie pusta”. Major nie był pewien czy szum w głowie spowodowany był ilością wypitego alkoholu czy też niewyspaniem. Kiedyś alkohol nawet smakował, teraz ... sama chemia. Wystarczała niewielka ilość, by w głowie szumiało nawet przez dwa dni, szczególnie dla osoby nie przyzwyczajonej do „delektowania” się koktajlem, którego skład mógłby być ciekawy dla samego Mendelejewa.

Nie zdążył sprawdzić, która była godzina.

– Co się stało?! – zapytał mężczyzna nerwowym głosem. Spojrzał na wyświetlacz telefonu. Numer był zastrzeżony, co nie było dla niego zaskoczeniem. Potwierdzało, że telefonowano z centrum operacyjnego bazy. Wszelkie telefony na zewnątrz były szyfrowane. Od razu lokalizowana była również osoba, do której dzwoniono z dokładnością do kilku metrów.

– Alarm pierwszego stopnia.

Major stanął jak wryty. Serce zaczęło mu bić jeszcze szybciej. Wiedział, że żołnierz sam z siebie dużo więcej nie powie. Od początku służby wpajano im, aby przekazywali informacje w sposób zwięzły i konkretny. Każdy żołnierz stacjonujący w bazie znał na pamięć procedury alarmowe. Dotychczas jednak procedura alarmu pierwszego stopnia stosowana była wyłącznie szkoleniowo. Major miał nadzieję, że będzie tak również tym razem. Pewności jednak nie miał. „Ćwiczenia w środku nocy?!” Stacjonował w bazie od 8 lat i wiedział, że nie ma tam ludzi nadgorliwych. Wszelkie zadania wykonywane były zazwyczaj w godzinach pracy administracji, gdy większość żołnierzy znajdowała się na terenie jednostki. „Może jakaś pieprzona wizytacja?!”

- Powód? – dopytał major po dłuższej chwili.
- Zmiany w polu magnetycznym atmosfery o nieustalonym pochodzeniu. Nagły wzrost jego natężenia.
- Co? Kto wymyślił takie ćwiczenia...
- Panie majorze, alarm pierwszego stopnia.

Stanowcze i szorstkie przerwanie wypowiedzi oznaczało wyczerpanie limitu pytań. Polityka bezpieczeństwa informacji nie pozwalała na zbyt długie prowadzenie rozmowy telefonicznej. Wszelkie szczegóły mogą być ujawnione dopiero na terenie bazy, a w przypadku alarmu pierwszego stopnia w pokoju numer 13 – specjalnym pomieszczeniu zabezpieczonym przed dostępem osób nieupoważnionych i podsłuchem. Major nie pamiętał, kiedy ostatni raz był w tym pokoju. Chyba na szkoleniu z procedury alarmowej. Nawet nie każdy wiedział, gdzie to pomieszczenie się znajduje. Szkolenia obejmowało kadrę kierowniczą.

Major usiadł na łóżku nie do końca wierząc w to, co się dzieje. Telefon kurczowo trzymany w dłoni oraz zapalona lampka nocna utrzymywały go w przekonaniu, że to nie był sen. Dobrze znał wszystkie procedury alarmowe. Osobiście udzielał szkolenia wstępnego żołnierzom, którzy zaczynają stacjonowanie w bazie. Dotychczas alarm pierwszego stopnia pozostawał jedynie teorią, ciekawostką budzącą żołnierzy przysypiających na zajęciach. „A gdzie ta trzynastka? – pytali dociekliwie. Nawet w hotelach nie ma pokoju z takim numerem – odpowiadał żartobliwie major”. W ogóle nie były zbyt często ogłaszane alarmy, chyba że dochodziło do klęsk żywiołowych lub nadzwyczajnych zjawisk atmosferycznych.

Baza, w której mężczyzna pełnił służbę została utworzona w celu badania atmosfery i zdolności naturalnej regeneracji zasobów tlenu w atmosferze. Na jej terenie prowadzone były liczne badania i eksperymenty. Wewnątrz bazy nikt nie miał wątpliwości, że ich prawdziwym celem nie było zbawienie ludzkości, lecz stworzenie metod obrony przed nadmiernym zanieczyszczeniem otoczenia, w którym przebywa człowiek. Niezastąpiona umiejętność na polu bitwy, gdzie co chwila wybuchają ładunki, jest duża ilość dymu oraz mogą być używane gazy bojowe. Tak było kiedyś. Teraz głównym wrogiem pozostawała temperatura. Reszta projektów zesła na dalszy plan. Przy obecnym klimacie nikomu nie przyszłoby do głowy bitwa na otwartym terenie. Głównym wyzwaniem ludzkości stało się przetrwanie.

Tym razem toaleta zabrała majorowi nadzwyczaj mało czasu. W bazie przebywał do późnego wieczora, co wynagradzał sobie nieco dłuższym wylegiwaniem się w łóżku. „Jedynie chwile, na które warto czekać”. W łazience również się nie spieszył, zbierając w ten sposób siły, by wyjść z mieszkania. „Prawda, kiedyś było inaczej”. Wówczas miał do kogo wracać, dla kogo wcześniej wstawać i wyskakiwać z łazienki po szybkim prysznicu. Wszystko zmienił jeden wieczór, a raczej kilka minut całkowicie zbędnej rozmowy z kolegą w bazie, kilka metrów dzielących od służy. Prawie zdążył przyjechać po nią samochodem ... prawie, pojechała autobusem. „Kurcze, zawsze była taka niecierpliwa”. Przystanek był za daleko. „A może kroki zbyt krótkie?”

Tym razem major ograniczył się do umycia zębów i szybkiego obmycia twarzy. Robił to wbrew sobie. Jadąc do bazy

zawsze starał się być elegancki i dokładnie ogolony. Ciemne włosy starannie zaczesywał do góry, przyglądając się, czy nie przybyło mu tych niepożądanych – siwych. Był dumny ze swej czupryny, która prezentowała się okazale, jak na 40-latkę. Wpajał młodym żołnierzom, że możliwość noszenia munduru jest dla nich przywilejem i muszą to szanować. „Ilu waszych kolegów chciało założyć ten mundur, a nie mogło? A ilu z waszych rodzin umarło, plamiąc go swoją krwią?” – powtarzał, starając się motywować jak najbardziej obrazowo. W szafce trzymał maszynkę jednorazową, którą potrafił osobiście ogolić żołnierza, gdy dostrzegł na jego twarzy zarost dłuższy niż jeden dzień.

Alarm pierwszego stopnia rządził się jednak innymi prawami. W takiej sytuacji wytłumaczyć się mógł nawet żołnierz, który przybiegnie do bazy wyłącznie w pidżamie. Wówczas obowiązywała wyłącznie jedna zasada – jak najszybsze przybycie na miejsce pełnienia służby. „Czerwony alarm pierwszego stopnia. Macie być od razu w bazie” – grzmiał do żołnierzy na szkoleniach.

W sypialni pośpiesznie chwycił mundur bojowy. Koszula przywierała do atletycznej sylwetki, zniekształconej lekkim brzuszkiem. Na nią zarzucał kurtkę. Z przyzwyczajenia zdjął z wieszaka krawat, by rzucić go po chwili na podłogę. „Bez sensu, do munduru bojowego?” – pomyślał. Owszem pasował, ale do ubioru służbowego. Major zajmował się szkoleniem teoretycznym żołnierzy oraz odpowiadał za zaopatrzenie i osobową obsadę bazy. „Zasoby ludzkie i materiałowe” – określał, mówiąc o pracach po kilku głębszych. Rzadko pokazywał się w mundurze bojowym. Zaletą odzieży wojskowej było to,

że nigdy nie musiał przejmować się odpowiednim dobraniem koloru. „Oliwkowy czy mniej znoszony oliwkowy?” – śmiał się w myślach. Wojsko dawało wszystko, łącznie z gaciami i skarpetami. Czego chcieć więcej? No, mogło jeszcze załatwiać panią, która by to wszystko prała i prasowała koszule.

– Dobra, jedziemy! – powiedział do siebie, spoglądając po raz ostatni w lustro w korytarzu.

Idąc do wyjścia wąskim korytarzem, sprawdził po kieszeniach czy wszystko zabrał – klucze, identyfikator, dokumenty, telefon komórkowy, zegarek. Przed drzwiami zdjął z drewnianego wieszaka i nałożył na siebie kombinezon izolujący przed mrozem, który szczelnie zakrywał powierzchnię ciała z wyjątkiem twarzy. Najpierw wciskał nogi, ręce i głowę. Zapinał z przodu. Zamek szczelnie zakrywała dodatkowa warstwa izolująca. „Może tego jej zabrakło?” – pomyślał, przypominając sobie, że pierwsze kombinezony nie miały takiej osłony. Do tego dochodził ochraniacz na głowę i twarz, zakrywający oczy specjalną szybką. Na kombinezon zakładał pas, do którego przylegała kabura z miotaczem promieni elektrycznych. Ponownie spojrzał w lustro. Ujrzał zupełnie inną postać. Żadnych znaków szczególnych. Nawet trudno było odgadnąć płeć ubranej osoby. Anonimowy element szarej masy. Od innych odróżniała go co najwyżej broń przymocowana do pasa. „Jak ja nienawidzę tego kondoma” – westchnął przed wyjściem z mieszkania.

Na klatce schodowej część żarówek była przepalona lub pobita. W panującym mroku widział zarysy schodów i poręczy. Czuł jak po plecach spływają mu kropelki potu. Trudno było wytrzymać w kombinezonie w ogrzewanych

pomieszczeniach. Schodził pospiesznie, nie tyle chcąc jak najszybciej znaleźć się w bazie, co opuścić to miejsce. Na zewnątrz budynku wyszedł przez specjalną służę, chroniącą wnętrze budynku przed chłodnym powietrzem. Cierpliwie czekał na otwarcie wewnętrznych drzwi. W środku służy stał kilka minut, w trakcie których powoli nappełniała się powietrzem z zewnątrz. Zielonym guzikiem potwierdził chęć opuszczenia budynku. Drzwi otworzyły się bezszelestnie.

Było jeszcze ciemno i cicho. Nocne eskapady już dawno poszły w zapomnienie. Obecnie siedziało się w domu – nie koniecznie swoim, albo odwiedzało się jeden z klubów. Należało wówczas pamiętać o zakazie ich opuszczania przed godziną 5 rano. Po zachodzie Słońca temperatura spadała nawet do minus 90 stopni. Przed takim mrozem nie chrończyły zbyt długo nawet najlepsze kombinezony. Kogo było stać mógł sobie zapewnić półgodzinny spacer w ciągu dnia, przy około minus 60 stopni zimą i 40 stopniach poniżej zera latem. Pozostałe osoby państwo wyposażyło w podstawowe kombinezony, pozwalające przejść krótkie odległości z budynku do pojazdu. Na mrozie można było w nich przebywać do 10 minut, nocą – około 3 minuty. Na ewakuację wystarczyło. Reszta ... nikt się tym nie przejmował. Jeżeli kogoś nie było stać na samochód, to mógł liczyć na publiczny transport lub pomocnego sąsiada. Bez dobrego kombinezonu, samochodu, dobrego sąsiada lub pieniędzy... pozostawało więzienie zwane domem. Transport publiczny uruchamiano okazjonalnie. Co dwa lub trzy dni dostarczano do budynków żywność i napoje – tylko podstawowe, aby przetrwać. Raz w miesiącu można było liczyć na środki czystości, a co pół

roku wymieniano zużytą odzież i bieliznę. Ktoś wyliczył, że było to tańsze od utrzymywania transportu publicznego.

Władze korzystały z faktu, że ludzie nie mogli wyjść na ulicę. Odstąpiono nawet od organizowania wyborów. Oficjalnie uzasadniono to troską o ludzi oraz koniecznością oszczędzania. Ktoś inny wyliczył koszt wyborów na astronomiczną sumę. A może to była ta sama osoba? Ludzie stali zatem w oknach, ponuro spoglądając na podwórka i ulice. Jedyną atrakcją stawało się dla nich oczekiwanie na dostawę żywności i ubrań. Nie wymieniali jej zbyt często. W mieszkaniach nie zużywała się za szybko.

Szybkim krokiem major podszedł do służbowego samochodu, który zaparkował na osiedlowym parkingu. Umieszczano je blisko wejść do budynków, by zmniejszyć narażenie na niską temperaturę. Wszystkie pojazdy miały automatyczne drzwi otwierane przyciskiem na pasku kombinezonu. Po wejściu do środka uszczelniane były mechanicznie. Powietrze było lekko podgrzewane do temperatury, w której można wytrzymać dłuższy czas, mając na sobie kombinezon.

Major nacisnął inny guzik przy pasku, by uruchomić elektryczny silnik. Wskaźnik naładowania rdzenia termojądrowego był wysoki. Wszystko działało bez zarzutu. Wymagane funkcje uruchamiały się automatycznie. Wyposażenie pojazdów ograniczano do niezbędnego minimum. Imperium kierowcy ograniczało się do pedału gazu, hamulca i kierownicy. W modelu majora zamontowano dodatkowo autopilota. Nie wynikało to z troski o jego wygodę, lecz chęci kontrolowania żołnierzy. „A niech sobie mają”. Cieszył się, że dostał pojazd. Z kupnem miałby duży problem. „Lepsze to od

busa zbierającego żołnierzy z całego miasta i zwożącego ich do bazy”. Na desce rozdzielczej widział prędkościomierz, zegarek, wskaźnik mocy rdzenia i temperaturę na zewnątrz. Po środku deski miał ekran, którym programował autopilota. Rzadko go używał. Pokonywaną trasę znał na wylot.

„Minus 80 stopni!” – major nie mógł przyzwyczać się do panujących mrozów. Tej zimy mijało 10 lat od chwili, gdy wszystko zaczęło się zmieniać. „O ironio losu”. Dziesięć lat temu zima była wyjątkowo łagodna. Trąbiono o dziurze ozonowej i ociepleniu klimatu. Zamiast śniegu padał deszcz i wiał silny wiatr. W telewizji mówiono głównie o zagrożeniach i szkodach wywoływanych przez orkany. „Czasami ten obraz śni mi się w nocy” – pomyślał major, czekając na przejście nieprzyjemnych dreszczy. Niby taka banalna rzecz. Krople deszczu zamarzały w powietrzu na oczach ludzi. Wszyscy przyglądali się temu z fascynacją, ale przez kilka minut. Widok coraz grubszej warstwy lodu, szczególnie zakrywającej ubranie i skórę wywoływał panikę. Ludzie uciekali do mieszkań i wskakiwali w ubraniach pod gorącą wodę. Pierwszym narzędziem kostuchy były wychłodzenia i zapalenia płuc. Nikt nie spieszył z wyjaśnieniami. Zamykano szkoły i zakłady pracy. Organizowano pierwsze dostawy żywności do mieszkań. Władze ostrzegały jedynie przed wychodzeniem z domu. Na ulice wyjechały ciężarówki do transportowania ciał.

„A miałem tyle planów związanych z podróżami, porannym joggingiem czy sobotnimi wieczorami na świeżym powietrzu ze znajomymi” – wspominał z rozgoryczeniem major. Kiedy uświadomił sobie, że to wszystko bezpowrotnie stracił,

to znienawidził każdą chwilę, gdy mówił jutro, za tydzień, ze miesiąc, za rok.

Samotne noce spędzane w ciemnym mieszkaniu pozwoliły na zrobienie długiej listy rzeczy, które odkładał na później. Zapisywał je na kartkach chowanych w szufladzie nocnego stolika. Ostatnio wpisał 120 pozycję. Literką „P” oznaczał to, co spowodowane było przez zmianę klimatu. Literka „M” symbolizowała natomiast osobę, którą stracił. Z nią również miał związanych wiele planów. Wydawało się, że jeszcze mają czas. Wydawało się, że sytuacja jest opanowana. Przy jednym z ostatnich wpisów oznaczonych literką „P” i „M” dopisał: „Błagam o ostatnią szansę!!!”. To było po opróżnieniu dwóch butelek, w które zaopatrywał się u magazyniera bazy. Przejrzornie ich skład sprawdził kiedyś u znajomego toksykologa, zajmującego od kilku lat funkcję głównego specjalisty Miejskiego Instytutu Żywności. Dokładnie pamiętał ten wpis na liście i sen dręczący go nocą. „Krople deszczu zamieniające ludzi w lodowe figury.” Rozkleiła go nie tyle moc alkoholu, co żal do losu. Kto mógł przewidzieć, że po około 5 minutach ciągłego przebywania na niskiej temperaturze, pierwsze kombinezony szybko traciły funkcje ochronne?! Zabrakło 3–4 minut, by doszła do służby ochronnej. Ile osób musiało zginąć, by wyprodukować bardziej odporne kombinezony. Nie było czasu na testowanie w laboratoriach. Początki były przerażające dla wszystkich. Ochotnikom obiecywano darmowe i dożywotnie zaopatrzenie w kombinezony dla całej rodziny. Zazwyczaj kończyli w ciężarówce na stosie ubranych w gumę ciał. Nikt nie pytał o to, jak testowano kombinezony, gdy zabrakło ochotników.

W taki sposób zakończyło się łatanie dziury ozonowej. Pierwsze lodowe krople spadły trzy godziny po wystrzeleniu rakiet. Wielkie nadzieje, ogromne pieniądze, wielki szum, dziesiątki rakiet wystrzelonych w atmosferę i jedna, krótka konferencja, wskazująca na nieplanowane skutki uboczne. Nawet nie padło słowo przepraszam, nie pozwolono na zadawanie pytań. Osoba będąca głównym pomysłodawcą i koordynatorem całej operacji zniknęła. „Skutek uboczny?!” Delikatne określenie. Owszem, dziury ozonowej już nie było, zmienił się jednak skład chemiczny powłoki atmosfery i już nie tylko przestała filtrować szkodliwe promieniowanie, ale także minimalizowała natężenie promieni słonecznych. Do Ziemi docierały resztki ciepła, nieodczuwalne dla człowieka i przyrody. Szok i chaos nie pozwolił na zaplanowanie i zorganizowanie akcji ratunkowych. Kto się sam uratował, to przeżył. Potem zorganizowano akcję... porządkową.

Niezbędne było rozwinięcie badań nad wymuszoną regeneracją tlenu, którego zasoby systematycznie zmniejszały się w związku z zanikiem roślinności. Co kilkadziesiąt metrów stały wysokie słupy, uwalniające pod znacznym ciśnieniem tlen oraz emitujące ciepło z reaktorów termojądrowych. Dzięki nim można było swobodnie oddychać. Czy było lepiej? Trudno powiedzieć. Zbyt świeże były jeszcze wspomnienia drzew, kwiatów czy smak owoców i warzyw.

Major swobodnie pokonywał miejską obwodnicę. Praktycznie cała, dwupasmowa droga była dla niego. Minęły go może dwa pojazdy, w tym jeden radiowóz. Policjanci jechali przez moment za nim, zapewne skanując dane pojazdu. W miejscu tablicy rejestracyjnej znajdował się dysk

z podstawowymi informacjami dotyczącymi pojazdu i kierowcy. Pojazdy uprzywilejowane posiadały skanery pozwalające na ich odczytywanie. Umieszczona tam była między innymi wzmianka o przynależności pojazdu do bazy wojskowej. To pozwalało na swobodne przemieszczanie się po ulicach, nawet w godzinach zakazu wychodzenia z pomieszczeń o stałej temperaturze. W innym przypadku policja mogłaby przejąć zdalną kontrolę nad pojazdem bez wychodzenia z radiowozu. Dalsze formalności odbywały się w hali policyjnej zlokalizowanej przy komisariacie. Utrzymywano w nich temperaturę lokali użytkowych, podobną do tej panującej w samochodzie.

Widoczność ograniczona do zasięgu reflektorów skutecznie ograniczała możliwość rozwinięcia większej prędkości. Ogłoszenie alarmu pierwszego stopnia pozwalało na włączenie dawno nie używanego „koguta”. Przycisk uruchamiający urządzenie znajdował się na dachu. Nie było pewne czy ono jeszcze dobrze działało. Niska temperatura skracała żywotność elektroniki. Major użył go dwu- lub trzykrotnie, gdy w rejonie występowały huraganowe wiatry i krążył po okolicy, koordynując akcję ratowniczą. To były początki funkcjonowania bazy. Tym razem major uznał włączenie „koguta” za zbyt skuteczne. Innych pojazdów nie było, z powodu ciemności szybciej by nie pojechał, a zjazd do samej bazy znajdował się za kilkaset metrów. W głębi duszy miał nadal nadzieję, że to były jedynie ćwiczenia i nie spieszyło mu się za bardzo. W myślach przeklinał nadgorliwca wywalającego z łóżka żołnierzy. „Po co? Jaki to ma sens?” – zastanawiał się i planował, kiedy odbierze nadgodziny za tą eskapadę. Tym bardziej, że dzisiaj miał mieć dzień wolny.